

# KAPUCYNI <sup>i</sup> MISJE



Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, rok 2015, nr 2



**Nikt zaś z nas nie żyje dla siebie i nikt nie umiera dla siebie:  
jeżeli bowiem żyjemy, żyjemy dla Pana; jeżeli zaś umieramy, umieramy dla Pana.  
I w życiu więc i w śmierci należymy do Pana.**

*List Św. Pawła do Rzymian (Rz 14, 7-9)*



# Drodzy przyjaciele misji!

Dobiegający końca miesiąc wrzesień w liturgii Kościoła i naszego Zakonu kapucyńskiego stał pod znakiem krzyża. Najpierw czternastego obchodziliśmy święto Podwyższenia Krzyża Świętego. W kolejnym dniu wspomnienie Matki Bożej Bolesnej. Siedemnastego – święto Stygmatów św. Franciszka z Asyżu i dwudziestego trzeciego – wspomnienie św. Pio, stygmatyka. Najświętsza Maria Panna, św. Franciszek, św. Pio, to tylko niektóre przykłady osób, spośród tylu świętych, którzy umiłowali całym sercem naszego Zbawiciela i dzięki temu Jezus przez cierpienie zaprosił ich do uczestnictwa w dziele zbawczym ludzkości. Współczesne czasy naznaczone są stygmatem cierpienia wielu chrześcijan w krajach, gdzie toczą się obecnie wojny. Na pierwszy plan wysuwa się Syria, jednak tych cierpień nie brakuje też w innych krajach, choćby wymienić tylko niektóre, jak: Irak, Afganistan, Indie, Indonezja, RŚA... Wierzę, że cierpienia i śmierć tylu współczesnych świadków Chrystusa nie są bezowocne, ale jak mówił już Tertulian: „Krew męczenników jest nasieniem nowych chrześcijan”. O tych współczesnych „stygmatkach” z RŚA możemy przeczytać w kolejnych relacjach naszych misjonarzy: Piotra Michalika i Roberta Wieczorka. Aktualnie w RŚA trwają gorące przygotowania do zbliżających się wyborów prezydenckich, które mają się odbyć 18 października tego roku. W całym kraju trwają zapisy wyborców na listy do głosowania. W stolicy udało się je zakończyć, natomiast na prowincji kraju przebiegają one dość wolno ze względu na trwającą porę deszczową i brak bezpieczeństwa szczególnie na drogach. Miejmy nadzieję, że zdążą do wyznaczonej daty. W tym miejscu bardzo Was proszę o modlitwę w intencji zbliżających się wyborów, aby przebiegły w terminie, pokojowo i aby wybrano odpowiednią osobę na to stanowisko. Jeśli sytuacja pozwoli, to 29 listopada papież Franciszek odwiedzi ten kraj, by w ten sposób wyrazić swoją solidarność z wszystkimi zaangażowanymi w dzieło pokoju.

1 lipca nastąpiła zmiana na stanowisku sekretarza Sekretariatu Misyjnego i prezesa Fundacji Kapucyni i Misje. Po rocznej pracy w tych dziełach br. Sebastian Majcher, decyzją Zarządu Prowincji został przeniesiony do wspólnoty w Wałczu. Pragniemy serdecznie podziękować bratu Sebastianowi za jego posługę, życzliwość i oddanie, które wkładał w rozwój dzieła misyjnego naszej Prowincji. Życzymy mu owocnej pracy i błogostawieństwa Bożego w nowym środowisku duszpasterskim. Na jego miejsce przyszedłem ja, br. Jerzy Steliga. Wypada się Wam krótko przedstawić, aby nie być względem Was anonimowym. Pochodzę z Podkarpacia z miejscowości Łęczany k. Krosna. W zakonie jestem od 31 lat, a w kapłaństwie od 24. Myślę, że niektórzy z Was mnie znają

z Biuletynu lub zdjęć misyjnych, ponieważ pracowałem przez czternaście lat w RŚA i Czadzie. Na misjach wykonywałem różne zadania. Od typowo duszpasterskich w parafiach: Ngaoundaye, Bocaranga, Bouar, Ndim, Gore, poprzez nauczanie w szkołach dla katechistów, aż po pomoc w formacji młodych kapucynów w postulacie i nowicjacie. Nie obca jest mi działalność charytatywna w ramach Caritasu, także konstrukcyjna w postaci budowy kaplic, szkół czy remontu wielu zniszczonych mostów po rebelii 2007 r. Jedną z większych moich radości z okresu misyjnego, było utworzenie szkoły dla sierot w Ndim w ramach parafialnego Caritasu. Cieszy mnie, że dzieło to jest kontynuowane i rozwija się dzięki siostrzom zakonnym i bratu Robertowi Wieczorkowi. Misję w Afryce zakończyłem w 2010 roku i ostatnie pięć lat pracowałem w parafii w Stalowej Woli.

W Roku Życia Konsekrowanego pragnę się z Wami podzielić radosną wiadomością od braci kapucynów z Kustodii Czadu i RŚA. 13 września w Bouar jeden z braci środkowoafrykańskich, brat Matthieu Yamande, po długoletniej formacji zakonnej złożył śluby wieczyste, a pięciu nowicjuszy pierwsze śluby zakonne. Patrząc na te rodzime powołania mamy nadzieję na trwałe zaszczerpienie naszego Zakonu w tej części Afryki. W tym roku na urlopie w Polsce przebywali bracia misjonarze: Benedykt Pączka, Zenon Kapka, Piotr Walocha, Jacek Dębski i Robert Wieczorek. Na urlopie zdrowotnym był br. Andrzej Barszcz. Czas urlopowy misjonarzy w Polsce przeplatany był odpoczynkiem, leczeniem i animacją misyjną. Przeprowadziliśmy niedziele misyjne w wielu parafiach, które przyjęły nas bardzo serdecznie. Dziękujemy wszystkim za hojność i otwarte serce.

Br. Paweł Kubiak kończy przygotowanie językowe w Brukseli i w Niedzielę Misyjną 18 października otrzyma krzyż misyjny w swojej rodzinnej parafii w Obornikach Wielkopolskich. Pod koniec października wyleci do Czadu, do parafii w Gore.

Przed nami miesiąc październik, poświęcony modlitwie różańcowej. Zachęcam Was w tym szczególnym miesiącu do modlitwy o pokój na świecie, za misjonarzy i wszelkie dzieła misyjne Kościoła. Jak w poprzednich latach w miesiącu listopadzie modlimy się za zmarłych. Zachęcamy Was gorąco do przysyłania nam, na adres Sekretariatu Misyjnego, kartek wypominkowych, które są dołączone do biuletynu.

Drodzy Przyjaciele misji kapucyńskich życzę Wam przyjemnej lektury aktualnego biuletynu. Niech wszyscy Święci wspierają Was w trudach codziennego życia i wypraszają Wam potrzebne łaski.

br. Jerzy Steliga  
Sekretarz misyjny



# Pokój i dobro!

z Bouar pisze br. Piotr Michalik OFMCap

**B**ogu dziękować, w tej części Republiki Środkowoafrykańskiej, gdzie żyjemy, rebelianci, którzy od dwóch lat wywołują wojnę - uspokoili się. Nie było kolejnych ataków na ludzi czy samochody. Czekają, jak rozwine się sytuacja polityczna w kraju. Na październik br. rozpisane są wybory prezydenckie. Nie wiadomo, która frakcja polityczna przejmie władzę w kraju.

Jednak w innych regionach cały czas wybuchają walki. Cierpią przede wszystkim cywile. Ile konfliktów jest podyktowanych chęcią zemsty czy zdobycia dostępu do bogactw mineralnych (i nie tylko mineralnych), a ile wynika z kalkulacji politycznej – trudno ocenić. Pewnie w większości przypadków wszystkiego jest po trochu.

Natomiast w samym Bouar jest zadziwiająco spokojnie. Nocą strzały słyszy się rzadko. W mieście nie widzi się ludzi paradujących z bronią w rękę. Zdarzają się jedynie włamania do domów. Mimo lęku przed rabusiami, postanowiliśmy podziękować żołnierzom sił międzynarodowych za pilnowanie naszego domu i odesłać ich do jednostki. Najgorsze (mam nadzieję) jest już za nami. Zresztą siły międzynarodowe przegrupowują się. Francuzów już od dawna tu, w Bouar, nie ma. Żołnierzy kameruńskich jest coraz mniej. Pojawiła się za to liczna grupa żołnierzy z Bangladeszu, którzy obok Marokańczyków mają kontrolować ten rejon RŚA. Jednak mimo obecności żołnierzy z Minusca (tak się nazywa operacja ONZ w RŚA), nigdy nie wiadomo, co się może stać....

W zeszłą sobotę, jak zwykle, wyjeżdżałem z posługą duszpasterską do moich wiosek. Były ze mną s. Renata - pasterzanka, Ewelina – misjonarka świecka i Bernadette – animatorka grup zrzeszających kobiety. Po drodze mijamy siedzących pod drzewem członków anty-balaka (samoobrony wioskowej). Dziwimy się temu wszyscy, bo w naszym regionie anty-balaka już od dłuższego czasu nie pojawia się z bronią w rękę. A oni ostentacyjnie prezentują swoją broń, tak by wszyscy ją dobrze widzieli. Po pewnym czasie mijamy się z samochodem żołnierzy Minusca. Kameruńczycy - pozdrawiamy się mrugnięciem światła lub machnięciem ręki. Chwilę później widzę we wstecznym lusterku pędzące na światłach motory anty-balaka. Niespecjalnie mnie to dziwi. Nieraz już widziałem tu ten rodzaj szpanu. Pokazuję ręką, że widzę ich i mogą mnie wyprzedzić. Trzy motory (na każdym po trzech anty-balaka) wyprzedzają mnie. Coś do mnie krzyczą, pokazują, że bym się zatrzymał, czynią wrogie gesty. Jednak ja się nie zatrzymuję, a i oni, jadąc szybko, w końcu zniknęli przed nami. Parę kilome-

trów dalej słyszę odgłos wystrzałów karabinowych. Ktoś bardzo blisko strzela długimi seriami. Pierwsza moja myśl: to anty-balaka, którzy nas wyprzedzili, urządzili zasadzkę na nas i chcą zabrać nam samochód. Zwalniam. Jednak na drodze nie widzę nikogo, tylko słyszę strzały. Widzę też, że strzały padają z naszego samochodu, bo wzniecają tumany kurzu przed nami. Chwilę później widzę czwarty motor z anty-balaka, który mnie wyprzedza i prawie ociera się o nasz samochód. Sto metrów dalej zatrzymują się, porzucają motor i uciekają w busz. Za nami ciągle ktoś strzela w naszym kierunku. Przypominam sobie o pasażerach: s. Renata i Ewelina leżą przyklejone do foteli, są całe, nie doznały żadnych obrażeń. Bernadette już zeskoczyła z samochodu i ucieka do buszu. Krzyczę, by wróciła, przecież nie odjadę bez niej. Muszę wyjechać z ostrzeliwanego miejsca, ale z drogi nie ma gdzie zjechać. Po chwili wyprzedza nas samochód żołnierzy Minusca. Znow strzelają, ścigając uciekających anty-balaka.



W końcu docieramy do wioski Dongue Yoyo. Zastanawiamy się, co robić. Jechać dalej? Nie wiadomo, jaka będzie dalsza reakcja anty-balaka, a ja przecież nie jestem sam – są ze mną inni ludzie. Zdecydowaliśmy się zawrócić do Bouar. Może następnym razem dojedziemy do celu.

Jak się później dowiedziałem, żołnierze z samochodu Minusca zauważyli, że za nami jadą cztery motory „bandytów”. Po uprowadzeniu ks. Mateusza Dziedzica zostali pouczeni, by przeciwdziałać, aby kolejny misjonarz (biały) nie został porwany. Dlatego niewiele się zastanawiając, rozpoczęli pościg za nami. Tylko czemu strzelali, mając nasz cywilny, misyjny samochód przed sobą? To wbrew ich zasadom...

br. Piotr Michalik OFMCap



## Szkoła w Kpakale

br. Robert Wnuk – Bocaranga

Dla nas, misjonarzy, ważne jest całościowe podejście do sprawy głoszenia Ewangelii. Dotyczy ono wszystkich wymiarów życia człowieka. W miejscach, gdzie są misje (czyli domy misyjne z siostrami, kapłanami czy zakonnikami), naszą pracę zawsze zaczynamy od okazania troski o człowieka i poszanowania życia. Dlatego wspieramy budowy (tam, gdzie ich nie ma) ośrodków zdrowia czy szpitali, pomagamy ludziom w zdobyciu lekarstw, budujemy studnie, żeby uzyskali dostęp do wody pitnej. Każdego dnia promujemy ochronę macierzyństwa, dziecka, rodziny. Nieustannie walczymy z korupcją, niesprawiedliwością, z wykorzystywaniem słabszych i pozbawionych praw (silniejszy i bogatszy ma rację wszędzie). Nie można tego czynić na szeroką skalę bez szkół i ośrodków wychowawczych, gdzie te wartości mogą być przekazywane i propagowane.

Niestety, nasza Republika Środkowoafrykańska ma poważne problemy. Od wielu lat państwo funkcjonuje tylko teoretycznie: słaba obrona, brak wojska, brak policji i żandarmerii, korupcja na wszystkich szczeblach władzy, zmieniająca się nieustannie sytuacja polityczna – nie sprzyjają stabilizacji. Gospodarka w czasie zamieszek nie rozwija się, urzędy nie mają pieniędzy ani żadnej strategii działania. Ani prezydent, ani rząd nie przedstawiają planów dotyczących edukacji społeczeństwa. Od 1960 roku w RŚA ani jedna szkoła nie została zbudowana z funduszy państwowych. Istniejące do tej pory szkoły, przejęte przez państwo, wzniesiono jeszcze w czasach kolonialnych albo przez Kościół albo organizacje humanitarne.

Państwo wprowadzi kształci nauczycieli na uniwersytetach, ale ich liczba jest kroplą w morzu potrzeb.

Miasto Bocaranga, gdzie pracuję i żyję, liczące 12 tysięcy mieszkańców (było ponad 15 tysięcy, ale część



z powodu wojny zmuszona została do ucieczki), posiada 3 szkoły podstawowe (w tym jedną prowadzoną przez misję) i 2 licea (jedno prowadzone przez misję). W państwowych szkołach podstawowych pracuje 9 nauczycieli dyplomowanych (czyli po trzech na szkołę), a w każdej jest ponad 400 uczniów! Reszta uczących nie ma po temu dostatecznych kwalifikacji; wykładają to, co umiują, ale robią to bez odpowiedniego przygotowania.

W Bocaranga szkoły państwowe są murowane, zadane, ale brakuje ławek i dzieci siedzą na ceglach albo kamieniach.

Nauczyciel zapisuje na tablicy lekcję, dzieci ją przepisują albo uczą się tekstu na pamięć. Młodsze dzieci uczą się liter, pisząc kredą na drewnianych tabliczkach. Starsi w większości posiadają zeszyty. Taki obraz szkoły można zobaczyć w dużych miastach jak Bocaranga. W wioskach jest dużo gorzej. Szkoły są zbudowane z patyków, mają dachy kryte słomą albo plandeką. W szkołach nie ma wykwalifikowanych nauczycieli. Uczą osoby, które skończyły choćby dwie lub trzy klasy gimnazjum. Nauczyciel, który skończył liceum i zdał maturę, jest wielką rzadkością. Osób po maturze jest wiele, ale większość nie chce pracować jako nauczyciele. Państwowa szkoła w RŚA teoretycznie jest bezpłatna i obowiązkowa. Ale w praktyce rodzice lub opiekunowie muszą uiścić za każdego ucznia opłatę 2500 franków na rok (17 zł), plus obowiązkowe ubezpieczenie – 250 franków (2 zł). Z ich perspektywy jest to spory wydatek.

Problem pojawia się, kiedy przychodzi na koniec miesiąca zapłacić pensje nauczycielom. Nauczyciel zatrudniony przez państwo otrzymuje swoją zapłatę nieregularnie (czasami z rocznym opóźnieniem), ale otrzymuje. Nauczyciel nie zatrudniony przez państwo jest teoretycznie opłacany przez zarządzającą szkołą stowarzyszenie rodziców. Wtedy pensja jest równie nieregularna jak w szkole państwowej, ale dodatkowo nie wiadomo, czy będą fundusze na jej wypłacenie. Czasami, jeżeli rodzice zapłacą czesne, taki nauczyciel dostanie 5-6 tys franków (około 30 – 40 zł) na miesiąc. To w miarę dużo, ale i tak nie da się za taką kwotę utrzymać rodziny. Dlatego taki nauczyciel często pracuje na swojej roli, nierzadko angażując do pomocy uczniów. Nauka w szkole odbywa się tylko dwie albo trzy godziny w ciągu dnia przez kilka miesięcy. Jak się można domyśleć, jakość nauki jest bardzo niska. Ilość lekcji i ich poziom przekładają się na bardzo słaby wynik nauczania.

Na szczęście sytuacja w szkołach prywatnych (podstawowych i średnich) przedstawia się inaczej. Organizacja pracy (bardzo często zaangażowane są siostry

zakonne, sami księża i zakonnicy) jest na wysokim poziomie. Ale też koszt czesnego jest o wiele większy, bo wiąże się z wypłatą regularnych pensji dla nauczycieli.

W naszym regionie (wielkości ¼ powierzchni Polski) funkcjonuje 8 szkół katolickich i trzy niższe seminaria dla chłopców w wieku od 12 do 20 lat. Szkoły są zarządzane lub nadzorowane przez księży misjonarzy lub siostry misjonarki. Nauczyciele są stale dokształceni, szkoły dofinansowywane, wyposażane, a wielu uczniom (zwłaszcza sierotom) fundowane jest czesne.



Mimo tego, niewielu uczniów zdaje maturę, a jeszcze mniej może kontynuować naukę na uniwersytecie (choć ten także pozostawia wiele do życzenia). Wiemy, że potrzebne są szkoły specjalistyczne, dające zawód w konkretnej dziedzinie. Uczeń, nawet jeśli skończy liceum i ma maturę, nie wie, co robić dalej. Na prowincji nie ma gdzie podjąć pracy. Może uczyć w szkole lub wyjechać do miasta i tam próbować szczęścia. Jednak mimo takich perspektyw, edukacja to jedyna droga rozwoju. Uczęszczanie do szkoły to promocja dla ludzi, nadzieja na lepszą przyszłość. Miejskowi coraz bardziej zdają sobie z tego sprawę i dlatego posyłają dzieci do szkół. Nasz region pod tym względem jest bardzo rozwinięty – szacujemy, że 30-40% dzieci uczęszcza do szkoły.

Są całe połacie kraju, gdzie szkoły wcale nie funkcjonują. Jest wielu dorosłych, którzy nigdy nie postawili nogi w szkole... Jeżeli rodzina funkcjonuje poprawnie, to dzieci nawet bez wykształcenia wyrosną na dobrych obywateli. Jednak teraz, w czasie zawieruchy podczas trwającej rebelii, łatwo zejść na złą drogę. Rabunki i roboje z bronią są dla wielu łatwym sposobem zdobycia majątku. Trwająca rebelia przeszkodziła w realizacji wielu naszych projektów związanych z budową nowych szkół podstawowych i gimnazjów. Ale nie poniechaliśmy naszych wcześniejszych zamiarów.

Prawie dwa lata trwały rozmowy dotyczące budowy nowej szkoły w Kpakale (10 km od Bocaranga). W wiosce szkoła istnieje od kilkunastu lat. Zajęcia prowadzone są pod strzechą (drewniane wiaty pokryte trawą). W 2013 roku do szkoły został przydzielony nowy dyrektor – nauczyciel dyplomowany. Mam nadzieję, że da to gwarancję dobrego funkcjonowania szkoły. Nauczycieli jest teraz trzech. W szkole uczy się 213 dzieci – 117 chłopców i 96 dziewczynek.

Chcemy postawić budynek z dwoma salami lekcyjnymi i pomieszczenie dla nauczycieli.

Teren, na którym ma stanąć nowa szkoła, jest płaski i utwardzony. Pierwsze etapy budowy to ręczne kopanie fundamentów, znoszenie kamieni, zwożenie piasku, wody, produkowanie cegieł.



Praca rusza do przodu. Ludzie w wiosce zostali podzieleni na grupy i każdego dnia są na budowie. Już przygotowali 12 tysięcy cegieł potrzebnych do budowy. Pomagają też uczniowie i niecierpliwie oczekują efektów swej pracy. Przy późniejszych etapach będzie pracowało 3 murarzy (fachowców), a rodzice uczniów będą pomocnikami.

Dzięki pracy zespołowej, zaangażowaniu prawie wszystkich rodziców i uczniów oraz silnej motywacji mury szkoły szybko rosną. Przed nami najtrudniejsze wyzwanie i zarazem najdroższe – wykonanie więzby dachowej i pokrycie dachu blachą falistą. Potrzeba nam jeszcze kilku tygodni do całkowitego wykończenia budynku. Trzeba go otynkować i zrobić wylewkę podłogową. Potem już tylko malowanie sal lekcyjnych i wykonanie tablic szkolnych. Żeby przetrwały wiele lekcji, wykonuje się je z cementu i maluje specjalną czarną farbą, która jest odporna na częste zmywanie. Na koniec pozostaje już zakupienie i przywiezienie mebli. Na wyposażenie szkoły składa się 45 ławek szkolnych, 4 biurka i 4 krzesła dla nauczycieli.



W sobotę 1 sierpnia w wiosce Kpakale od samego rana słychać muzykę. To uroczysty dzień poświęcenia szkoły. Będzie nosić imię św. Jana Pawła II. Obecny jest burmistrz, pani prefekt, szefowie sąsiednich wiosek, dzieci i ich rodzice. Są przemówienia i podziękowania. Padło wiele słów zachęty do dzieci, aby szanować wspólnie wybudowaną szkołę i pilnie się uczyć.

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do budowy tej szkoły. Dziękuję Fundacji Kapucyni i Misje i wszystkim Dobrodziejom za pomoc. Bez Was mieszkańców Kpakale nigdy nie byłoby stać na podjęcie się takiej inwestycji, a dzieci nadal uczyłyby się w krytej słomą wiazie, siedząc na drewnianych kołkach.

Niech święty patron szkoły w Kpakale, Jan Paweł II, opiekuję się Wami i Waszymi Bliskimi.

# Studnia

*Jaki z tego pożytek, bracia moi, skoro ktoś będzie utrzymywał, że wierzy, a nie będzie spełniał uczynków? Czy sama wiara zdoła go zbawić? Jeśli na przykład brat lub siostra nie mają odzienia lub brak im codziennego chleba, ktoś z was powie im: Idźcie w pokoju, ogrzejcie się i najedzcie do syta! – a nie dacie im tego, czego koniecznie potrzebują dla ciała – to na co się to przyda? Tak też i wiara, jeśli nie byłaby połączona z uczynkami, martwa jest sama w sobie. Ale może ktoś powiedzieć: Ty masz wiarę, a ja spełniam uczynki. Pokaż mi wiarę swoją bez uczynków, to ja ci pokażę wiarę ze swoich uczynków. (Jk 2,14-18)*

W wielu wioskach w Czadzie i Republice Środkowoafrykańskiej nie ma bezpośredniego dostępu do wody, a ludzie borykają się z problemem braku wody zdatnej do picia. Dla dzieci brak czystej wody może być tragiczny w skutkach. Prawie 1000 afrykańskich dzieci umiera każdego dnia na choroby biegunkowe spowodowane picciem zanieczyszczonej wody.



A źródła wody w Afryce są, trzeba tylko do nich dotrzeć. W krajach, gdzie pracują nasi misjonarze to kobiety i dziewczęta ponoszą główną odpowiedzialność za zaopatrzenie domu w wodę. Muszą czasami pokonywać wiele kilometrów, aby dotrzeć do ujęć wody.

W konsekwencji kobiety z dziećmi wędrują 2-3 godziny do odległej o kilkanaście kilometrów rzeki lub studni, aby przynieść pojemnik z wodą ważący często kilkanaście kilogramów. Podczas pory suchej dystans, jaki muszą przebyć aby zdobyć wodę, jeszcze się wydłuża.

W rejonach gdzie toczą się konflikty zbrojne (jak trwająca od dwóch lat rebelia w RŚA), taka podróż naraża kobiety i dziewczęta również na ryzyko ataku i przemocy fizycznej.

Aby temu zaradzić i poprawić jakość życia wielu ludzi w wioskach, nasi misjonarze starają się zorganizować budowę studni. W czerwcu br. zostały uroczystie oddane do użytku dwie studnie w Czadzie w wioskach Abe

i Dotunru. Budowę obu studni organizował i nadzorował br. Artur Ziarek, pracujący na misji w Bam.

W wiosce Abe, studnia została ufundowana przez księdza Czesława z Diecezji Elbląskiej. To już druga studnia w ostatnich dwóch latach, którą ufundował kapłan pragnący zachować anonimowość.



Studnia w Dotunru, zgodnie z wolą swoich fundatorów: pani dr Urszuli Guzek i dr Zbigniewa Goli, nosi nazwę „Stalowa Wola”, od miejscowości gdzie żyją i mieszkają.

Br. Artur Ziarek uroczystie poświęcił obie studnie. Świętowały całe wioski. Były przemówienia, śpiewy i tańce.

Pragniemy serdecznie podziękować naszym Dobrodziejom, fundatorom obu studni. Dzięki Waszej wierze i dobremu uczynkom, dalsze ludziom w Abe i Dotunru, to czego im było do życia najbardziej potrzeba.

Każdy, komu nie jest obojętny los człowieka w potrzebie, może się przyłączyć do misjonarzy kapucynów i wspomóc realizowane przez nich dzieła.



## Mrokowi śmierci trzeba stawiać czoła trudem miłości

Śmierć jest doświadczeniem, które dotyka wszystkich rodzin bez wyjątku. Jest częścią życia. Tym niemniej, gdy dotyka umiłowanych członków rodziny, to zawsze się nam jawi jako nienaturalna. Dla rodziców przeżycie swoich dzieci jest szczególnie przejmujące, jest czymś sprzecznym z podstawową naturą relacji nadających sens rodzinie. Utrata syna lub córki jest czymś takim, jak by czas się zatrzymał: otwiera się otchłań, która pochłania przeszłość, a także i przyszłość. Śmierć, która zabiera dziecko małe lub młode jest policzkiem wymierzonym obietnicom, darom i poświęceniom miłości, radośnie przekazanych życiu, które zrodziłyśmy. Wiele razy przychodzą na Mszę w Domu Świętej Marty rodzice ze zdjęciem syna lub córki, małego dziecka, chłopca, dziewczyny i mówią mi: „odszedł, odeszła”. W ich spojrzeniu jest wiele bólu. Śmierć dotyka, a w przypadku dziecka dotyka głęboko. Cała rodzina zostaje jakby sparaliżowana, oniemiała. Coś podobnego przeżywa również dziecko, które pozostaje samo, z powodu utraty jednego lub obojga rodziców. Pojawia się pytanie: „gdzie jest tatuś?”, „gdzie jest mamusia?” - „w niebie” - „Ale dlaczego ich nie widzisz?” Pytanie to ukrywa niepokój w sercu dziecka. Pozostaje samo. Otwierająca się w nim pustka opuszczenia jest tym bardziej niepokojąca, że nie ma jeszcze dostatecznego doświadczenia, by nazwać to, co się stało. „Kiedy powróci tatuś? Kiedy powróci mamusia?”. Nie można odpowiedzieć, a dziecko cierpi. Tak wygląda śmierć w rodzinie.

W takich przypadkach śmierć jest jak czarna dziura, która otwiera się w życiu rodzin i której nie potrafimy w żaden sposób wyjaśnić. Czasami posuwamy się do obwiniania za nią Boga. Jak wiele osób, które rozumem gniewa się na Boga, bluźni: „dlaczego odebrałeś mi syna, córkę? Boga nie ma. Bóg nie istnieje. Dlaczego to uczyniłeś?”. Wiele razy słyszeliśmy takie słowa. Ale ta wściekłość jest poniekąd tym, co wypływa z wielkiego cierpienia. Utraty syna czy córki, tatusia czy mamusi – to wielkie cierpienie. A to nieustannie dzieje się w rodzinach. Ale śmierć fizyczna ma „wspólników”, którzy są jeszcze gorsi od niej samej, a nazywają się nienawiść, zazdrość, pycha, chciwość; krótko mówiąc grzech światła pracującego na rzecz śmierci i czyniącego ją jeszcze bardziej bolesną i niesprawiedliwą. (...) Wiele rodzin należących do Ludu Bożego dzięki łasce współczucia Boga danej w Jezusie ukazują czynami, że śmierć nie ma ostatniego słowa i jest to naprawdę akt wiary! Za każdym razem, kiedy rodzina pogrążona nawet w straszliwej żałobie znajduje w sobie moc, by strzec wiary i miłości, łączących nas z tymi, których kochamy, już teraz nie pozwala, aby ze śmiercią zabrano wszystko. Mrokowi

śmierci trzeba stawiać czoła z bardziej intensywnym trudem miłości. „Boże mój, ty rozjaśniasz moje ciemności!” - to wezwanie liturgii wieczornej. W świetle Zmartwychwstania Pana, który nie opuszcza nikogo z tych, których powierzył mu Ojciec możemy usunąć „oścień” śmierci, jak mawiał apostoł Paweł (1 Kor 15,55). Możemy zapobiec, by zatrzała nam życie, zniweczeniu naszych uczuć, popadnięcia w najciemniejszą pustkę.

W tej wierze możemy pocieszać się nawzajem, wiedząc, że Pan zwyciężył śmierć raz na zawsze. Nasi bliscy nie zniknęli w mroku nicości: nadzieja nas zapewnia, że są w dobrych i silnych rękach Boga. Miłość jest silniejsza od śmierci. Z tego względu jest drogą, aby rozwijać miłość, uczynić ją silniejszą, a miłość będzie nas chronić aż do dnia, w którym każda łza zostanie otarta, „kiedy śmierci już ... nie będzie, ani żałoby, ni krzyku, ni trudu już nie będzie” (Ap 21,4). Jeśli pozwolimy, aby wspierała nas ta wiara, to doświadczenie żałoby może zrodzić większą solidarność więzi rodzinnych, nowe otwarcie na cierpienie innych rodzin, nowe braterstwo z rodzinami, które rodzą się i odradzają w nadziei. Rodzić się i odrodzić w nadziei – to nam daje wiara. Ale chciałbym podkreślić ostatnie zdanie usłyszanej dziś Ewangelii, że Jezus „oddał go jego matce”. To właśnie jest naszą nadzieją. Wszyscy nasi bliscy, którzy od nas odeszli, wszystkich Pan nam odda, a my spotkamy się z nimi i ta nadzieja jest niezawodna. Dobrze zapamiętajmy ten gest Jezusa – a Jezus „oddał go jego matce”. Tak uczyni Pan wobec wszystkich naszych bliskich w rodzinie.

Trzeba dziś, aby duszpasterze i wszyscy chrześcijanie wyrażali w sposób bardziej konkretny sens wiary w obliczu rodzinnego doświadczenia żałoby. Nie można zaprzeczać prawu do płaczu: Jezus również „zapłakał” i „wzburzył się wewnątrz i był wstrząśnięty” z powodu poważnej żałoby rodziny, którą umiłował (J 11,33-37). Możemy przede wszystkim czerpać z prostego i mocnego doświadczenia świadectwa wielu rodzin, które potrafiły w trudnym przejściu śmierci dostrzec także pewne przejście Pana ukrzyżowanego i zmartwychwstałego, z Jego nieodwołalną obietnicą powstania z martwych. Dzieło miłości Boga jest silniejsze niż dzieło śmierci. To właśnie tej miłości powinniśmy stać się pracowitymi współnikami, z naszą wiarą! Pamiętajmy też o tym geście Jezusa: a Jezus „oddał go jego matce”. Tak uczyni z wszystkimi naszymi bliskimi i z nami, kiedy się spotkamy, kiedy śmierć zostanie definitywnie pokonana. Została ona definitywnie pokonana na krzyżu. Jezus przywrócił nas wszystkim w rodzinie.

Katecheza papieża Franciszka 17 czerwca 2015 r.



# Apokalipsa

pisze br. Robert Wieczorek OFM Cap

Pokój i dobro!

Drodzy Przyjaciele RŚA!

„Gdy wam urągają i prześladują was, i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe na was, cieszyć się i radujcie!” (Mt 5,11-12).

Zacznę od wspomnienia z młodości. Mój obecny współbrat w zakonie, a niegdyś kolega z klasy i internatu, br. Marian Zieliński miał w zwyczaju nucić sobie pod nosem: „Jeśli gdzieś jest niebo, to wygląda jak Nowy Sącz...” (to jego rodzinne miasto, więc nie dziwota). Nie siląc się na oryginalność, nieraz przerabiam ten refren na własny użytek: „Jeśli gdzieś jest niebo, to wygląda jak Ndim”, czym wywołuję u braci irytację albo odruch politowania, bo to przecież dziura, jakich mało. Owszem, pustelnia nowicjatu to urocze miejsce, ale reszta? Nic, czego można by zazdrościć.



Pustelnia w Ndim

Niemniej jednak w kontekście tragicznych wydarzeń, jakich obraz w relacjach braci intensywniej docierał do Was w ostatnich tygodniach, my tutaj w Ndim możemy powiedzieć bez najmniejszego cienia buty, ale za to z wielką wdzięcznością: Gdy wszędzie wokół dzieje się naprawdę źle, nam tutaj, w Ndim, jest jak u Pana Boga za piecem! Jakimś cudem albo psim śwędem (zależy od tego, jaką kto ma koncepcję funkcjonowania tego świata) do tej pory pozostaliśmy nietknięci. Jak to możliwe, gdy jednocześnie nasi sąsiedzi z północy i południa tak bardzo ucierpieli? Przecież przed dziesięć laty, podczas rebelii gen. Bozize, to właśnie Ndim było pierwszą misją w diecezji Bouar, która padła ofiarą muzułmańskich najemników. Ale wtedy było inaczej, bo grabieżcza fala przyszła ze wschodu, od strony Paoua. Tym razem zbójceki tajfun wdarł się z południa.

Obok łutu zwykłego szczęścia, można sobie ocalenie Ndim tłumaczyć też w inny sposób: bandycki konwój samochodów Seleka, który zostawił za sobą w Bocaranga zgłiszcza i trupy, stanął przed wyborem, czy do granicy z Kamerunem i Czadem jechać drogą wschodnią, czy zachodnią. Na szczęście dla nas – wybrali tę drugą. Nasza ma dwa skrzyżowania po drodze, a tam mogli się zaciąć anti-balaka, przy tym jest na niej jeszcze parę kiepskich mostów i spore górki przy zjeździe do Ngaoundaye, świetnie nadające się na zasadzkę. A może też po prostu nie wiedzieli o naszej misji, bo niespecjalnie dawaliśmy znać o naszym istnieniu? Wszystkie nasze samochody, oprócz jednego, stacjonują już od roku po drugiej stronie granicy, w Kamerunie, więc nie ma tu specjalnie czym się obłowić... Dość powiedzieć, że uchwaliśmy się cało.

Co parę godzin nasłuchujemy przez radio kolejnych wieści. Przynajmniej człowiek nie będzie zaskoczony. Internet i skype pomagają w utrzymaniu łączności – telefony są zbyt uzależnione od pracy anten, a z tym bywa różnie. A przy tym w naszej dziurze praktycznie nie ma zasięgu.

No i modlimy się – może nie więcej, ale z pewnością inaczej i intensywniej. Ja osobiście co dzień polecam mą parafię Bożemu Miłosierdziu przez s. Faustynę i wspominając ujmujący pokój miejsca, jakim jest Medjugorie, proszę Gospę Mira o opiekę nad moim małym „Międzygórzem” – bo Ndim faktycznie jest tak usytuowane.

Ale przede wszystkim większość czasu i energii pochłania mi troska o normalne funkcjonowanie misji. Jesteśmy jedną z nielicznych oaz pokoju na terytorium RŚA, w której szkoła i szpital działają normalnie. Do tej pory mieliśmy tylko 3 dni przerwy w nauce – w czasie, gdy pojawiło się potencjalne zagrożenie.

Gdy przed wakacjami zaczęły się kolejne zamieszki w Bouar, ja siedziałem w buszu i przez pierwsze dni w ogóle nic o problemach nie wiedziałem. Koczowałem w Nzoro, gdzie „gonię” rodziców do wykończenia szkoły św. Łucji, a przy okazji doglądałem też rozpoczętej w tym roku budowy szkoły w sąsiedniej wsi Mboum Mbindoye. W tym samym czasie chodzę z wizytą duszpasterską po domach katolików, a moi murarze tynkują kaplicę w Nzoro. Ochrzciliśmy też w Mboum kilkoro dzieci – normalna praca duszpasterska. Dopiero gdy wieczorem w niedzielę wróciłem do nowicjatu, bracia przekazali mi nowiny.

To, co w domu było zauważalne na pierwszy rzut oka, to nieobecność kobiet i dzieci Mbororo (muzułmanów). Przyzwyczailiśmy się bowiem od dłuższego już

czasu, że tutejsi nomadzi powierzali naszej opiece na noc swoje rodziny, gdy tymczasem mężczyźni strzegli krów w buszu. To ważny szczegół wobec topornej propagandy o rzekomej wojnie religijnej... Teraz jednak przyszły wieści o starciach na południe od Bocaranga i naszym muzułmanom puściły nerwy – w większości powyjeżdżali aż za Ngaoundaye, by schronić się w pobliżu granicy z Czadem.

W kolejną niedzielę wracam do Nzoro. Z satysfakcją słucham ludzi, którzy mówią, że mimo złych wieści nie spanikowali i kontynuowali robotę. Faktycznie, na obu budowach widać postęp. Zaciskają kciuki i powtarzają między sobą: Głupki bawią się wojnę, ale to my szykujemy lepsze jutro dla naszych dzieci! Serce mi rośnie – jestem z nich dumny. Robimy plany budowlane na kolejne dni, podsumowując wszystko przysłowiom tu arabskim zwrotem: in sha-Allah (jeśli Bóg pozwoli).

To zastrzeżenie wchodzi w życie szybciej, niż bym się spodziewał. Wracam w południe do Ndim i w samym środku wsi, przy tak zwanym Małym Targowisku, widzę dość spore zgromadzenie ludzi. Zbliżając się, dostrzegam na poboczu naszą położną Antoinette, która zazwyczaj wita mnie uśmiechem od ucha do ucha, ale tym razem minę ma raczej niemrawą. Zatrzymuję się, by się przywitać, i mam czas przyjrzeć się ludziom. Stoi tam między innymi sierżant-szef Thierry Yezo z Rewolucji Sprawiedliwości (RJ, Revolution de Justice). Tak się określają zbrojni z grupy powstańców kontrolującej pas terytorium przy granicy z Czadem. Ich strefa wpływów kończy się właśnie na Ndim – dalej na południe do sąsiedniej wsi Hang Zoung docierają czujki klasycznych anti-balaka.

Z Yezo znamy się już od kilkunastu dni, odkąd to pewnego wieczoru ludzie poinformowali nas o pojawieniu się zwiadowców z RJ i poprosili o pomoc w pertraktacjach. To on właśnie był tym zwiadowcą. Udało nam się z panią mer i paru innymi ze starszyzny wioski wyperswadować im, żeby się jednak tu nie instalowali, bo wieś pójdzie z dymem, jak się o tym dowie Seleka. Odeszliśmy nawet uspokojeni, bo jeszcze raz nasi powstańcy zapewniają, że walczą jedynie z Seleka, ale nie mają nic przeciwko muzułmanom jako takim. To pozwoliło naszym Mbororo przetrwać z nami kolejne dwa tygodnie.

Ale teraz mój przyjaciel Thierry zabrał się za kontrolę, czy w magazynach pozostawionych pod kluczem przez muzułmańskich handlarzy przypadkiem nie ma broni. Pokazuje mi przyjaznym gestem ręki uzbrojonej w „kałasza”, abym jechał dalej. Ja jednak zatrzymuję się na samym środku naprzeciw domniemanych arsenałów – sam z chęcią popatrzę na rozpoczynający się właśnie spektakl. Po paru chwilach jestem otoczony przez sporą grupę gapiów, którzy wiedzeni moim przykładem wychodzą z cienia, aby obserwować z bliska, co się dzieje. Przyglądam się i rozpoznaję pośród dziesiątki zbrojnych dwóch moich chłopaków z Ndim – to Romain (kuzyn naszego postulanta) i Puissant („mocarz”). Paradoks: ci sami godebe („ferajna”), którzy wcześniej wystługiwali się komersantom (muzułmańskim handlarzom) przy rozładunku worków, teraz wydali zapasy zgromadzone przez swoich pracodawców w ręce Rewolucji Sprawiedliwości. No cóż, popatrzymy sobie, jak wygląda w praktyce owa deklarowana sprawiedliwość...

Z drzwiami poszło szybko. W środku są głównie worki fasoli. Kilkanaście z nich łąduje na zewnątrz – ewidentnie mają trafić w ręce nowych właścicieli.

Thierry ponownie namawia mnie, żebym jechał dalej. To w trosce o moje zdrowie: obawia się, że słońce w samo południe może mi zaszkodzić. – Wszyscy stoją pod tym samym słońcem – odpowiadam – jednak poczekam na finał. Zbliża się kolejny sierżant-młokos w kompletnym uniformie wojskowym i zaczyna inaczej: – My tu jesteśmy czarni, a ty jeden biały, zostaw nas z naszymi sprawami. – Synu – mówię – mieszkam w RŚA dłużej, niż ty chodzisz po tym Bożym świecie, więc chyba jestem bardziej Afrykańczykiem niż ty... W końcu nasza wymiana zdań zaczyna nieco przybierać formę pyskówki. – Twoja tutaj obecność – cedzi Yezo – nas żenuje... – Wasza nas też – mruczę pod wąsem... Mówię do ludzi wokół mnie: – Dziś nie uszanujecie prywatnej własności Abdu Rahmana, jutro przyjdzie kolej na wasze domy!

Pomyślałem, że może obecność mego czarnoskórego współbrata, Jean-Yvesa, będzie bardziej skuteczna niż mój ośli upór, więc po dobrej godzinie sterczenia pod słońcem w zenicie odjechałem do nowicjatu.

Jean-Yves, poinformowany o zajściu, skwapliwie



br. Jean Yves OFM Cap

przystał na zmianę warty. Stańto w końcu na tym, że łobuzy złożyły worki w innych, jeszcze nie zdemolowanych magazynach i ustawiły na straży młodych cywili z dzielnicy. Po co to zamieszanie, skoro wcześniej rzeczy leżały spokojnie w zamknięciu?

Długo nie trzeba było czekać, bo przykład idzie z góry. Rano wieś obiega nowina, że jacyś uzbrojeni zrabowali inny depozyt, tym razem u Abdoulaya, gdzie znajdowało się

paliwo i części motoryzacyjne. Abdou nigdzie nie uciekł, bo jego matka jest z miejscowego plemienia Pana. Abdoulaye ma tutaj swój dom i kraj, choć jest muzułmaninem. Po mszy odwołuję zaplanowaną robotę w warsztacie i stolarni i idziemy razem do wsi przyjrzeć się sprawom z bliska. Przyjechał sam kapitan Charles Bagaza z bazy przy granicy z Czadem i rzecz się wyjaśnia przy przesłuchiwaniu kolejnych świadków. Próbują zrzucić winę na młodych pozostawionych na warcie. Więcej – o, ironio losu! Moi wczorajsi bohaterowie, ci dwaj młodzi z Ndim, co to przystali do rebelii, siedzą powiązani na ziemi i już swoje dostali po skórze. Wczorajsi osiłowcy dziś mają ły w oczach. Kapitan mówi bez ogródek, że za kradzież kula w łeb. Jako że chce mnie słuchać, przypominam jego podkomendnym, że to oni wczoraj dali zły przykład, zachęcając innych do rabunku. A jemu samemu zwracam uwagę, że oprócz „kuli w łeb” istnieją inne, bardziej humanitarne formy karanania.

Wracam tam ponownie za jakiś czas, tym razem w towarzystwie brata Zenka. W wyniku dochodzenia wychodzi na jaw, że to sam sierżant Thierry Yezo osobiście umówił się z kilkoma cywilami, że obrobą magazyn. Wiadomo już, za kim trzeba gonić, by odzyskać utraczony towar.

Wszystko to się dzieje przy tak zwanej bazie wojskowej. Ale ta baza to w rzeczywistości nic innego jak dawne przedszkole, postawione przez misję katolicką

na państwowym terenie dobrych 30 lat temu. Władze lokalne nie były mu, niestety, życzliwe, po kilku latach odebrały siostrze prawo do kierowania przedszkolem i placówka upadła, a puste budynki przejęło wojsko, na potrzeby stacjonującego w Ndim garnizonu.

– Panowie zbrojni – powiedziałem – przyszłście tutaj do bazy, by sądzić złodziei, tak jak to od lat jest w zwyczaju. Ośmielam się wam jednak przypomnieć, że jest to dawne przedszkole. A jako że misja katolicka postawiła je dla edukacji, nie będzie się już więcej tutaj lała ludzka krew. Od dwóch lat istnieje w Ndim państwowy college, ale nie ma własnych budynków. Od jutra wchodzę tu z moimi robotnikami, naprawiamy drzwi i okna, a za tydzień będą tu lekcje dla gimnazjalistów. Zdecydowane.

A nasi wojacy – może dlatego, że sami przybyli z daleka, więc mało ich obchodzi to, o czym mowa – odpowiadają: – Ależ oczywiście, szkoła jest najważniejsza. Bierzcie się do roboty, nie ma problemu.

Od razu w drodze powrotnej wpadłem na zastępcę pani mer i dyrektora college'u, informując ich o moim „zarządzeniu”. Zostawiłem ich nieco osłupiałych nagłym obrotem spraw. A pani mer Josephine Henlari (jej nazwisko w języku Pana znaczy: mająca pieniądze) akurat siedziała z przewodniczącym komitetu rodzicielskiego i tylko przyklasnęła: – Oczywiście, właśnie rozważaliśmy tutaj wspólnie, jak rozmawiać z proboszczem, by wspólnie coś zrobić dla sprawy college'u... Odparłem, że odkąd mamy kobietę za prezydenta, od razu lepiej się dzieje w kraju: – Catherine i Josephine urządzają nam nowe państwo! (Tymczasowa prezydent RŚA nazywa się Catherine Samba-Panza.)

Roboty ruszyły. Odbiło się zebranie z rodzicami na temat nowych ławek; dawne żołnierze spalili, bo po co chodzić po chrust do buszu? Drewniane tablice posłużyły im z kolei jako zapchajdziury w oknach. Ale w ciągu kilku dni zrobiliśmy nowe – z cementu, tych już nie spala. Ponaprawiane drzwi mają mieć kłódki, ale nie da się ich kupić na targowisku, bo taka u nas teraz prosperita – granice pozamykane i zero handlu. Postawiliśmy też tablicę informacyjną przy drodze, a na murze wielki napis „College de Ndim” – niech się ktoś spróbuje teraz przyczepić! Verbum factum est. A moi dwaj niedoszli rebelianci z Ndim, Romain i Puissant, pracowali dzielnie przy restauracji szkoły, bo dali sobie wytłumaczyć, że więcej jest radości w dawaniu niż w braniu...

Rebelianci z RJ i anti-balaka z sąsiedztwa spotkali się w czwartek na targowisku, omawiając dalsze wspólne plany wojenne. Przedstawiciele plemion Banda i Karre, przybyli z południa, próbowali kolejny raz obrabować skład części motoryzacyjnych należący do pewnego Kameruńczyka, ale tym razem mediacja załagodziła wszystko. Ostatecznie, pod osłoną nocy, owe części zostały schowane u mnie na misji w centrum.

A chłopaków z RJ da się jakoś „wychować”. Przy okazji okazało się, że zastępcą kapitana Charles'a jest Laurent z Nzakoundou, mój były seminarzysta z Yole. Chłopak, już kawał czasu temu, spędził ze mną pod jednym dachem 3 lata, ale pewnego dnia musiał wrócić do domu, bo w problematycznych relacjach z kolegami miał skłonność do sięgania po nóż. Za czasów Bozize był już pisarzem w rebelii APRD, teraz na nowo wstąpił na wojenną ścieżkę jako RJ. Ambiwalentna radość z takiego odkrycia – ale pogadaliśmy sobie sporo u mnie



w biurze, wyjaśniając sobie różnice w naszych koncepcjach dążenia do pokoju.

Te ostatnie zawirowania spowodowały kolejne opóźnienie w mojej pracy dla Nzoro i Mboum. W te dni kursowałem stale na rowerze w trójkącie: nowicjat – college de Ndim – Dakar. W Dakarze stoi szkoła Caritasu, w której, jak już wcześniej wspominałem, zainicjowaliśmy w tym roku college katolicki – prywatny. Skromny, jedna klasa, ale jest i działa. Korzystamy z okazji, że szkoła na razie jest niezbyt ludna, i stawiamy tam zgrabny mur na werandzie, by zabezpieczyć budynek przed nocnymi odwiedzinami zwierząt, które zostawiały po sobie mało sympatyczne ślady.

Ale nie cement jest mocą Kościoła. Od ostatniego tygodnia ruszyliśmy z nową praktyką: drugiej niedzielnej Mszy świętej. Odprawiana jest o 6:30 w kaplicy św. Franciszka w Dakarze, bo ta od lat stała nieco opuszczona. Ludzie z dzielnicy przyjęli tę propozycję z wielkim zainteresowaniem. Natomiast w sobotni wieczór reaktywaliśmy instalowany ze zmiennym szczęściem zwyczaj półgodzinnej adoracji Najświętszego Sakramentu. Z modlitwy czerpiemy siłę. To jest centrum i sens naszego tutaj trwania.

Tak więc, jak widzicie, nie ma za bardzo czasu na zamartwianie się wojną.

Gdy piszę te słowa, dociera do mnie właśnie informacja o kolejnej „powtórcie z rozrywki”, jaka się szykuje. Konwój piekielników spod znaku Seleka, ciągnących tym razem z Berberati (od dżungli na południu), ponownie zaatakował wczoraj Bouar. Oznacza to, że być może spróbują przebijać się naszą drogą na północ. Czy i tym razem nas ominą? A za nimi, od strony centrum kraju, zbliża się jeszcze kolejny zmotoryzowany czambuł najemników spod znaku półksiężycy...

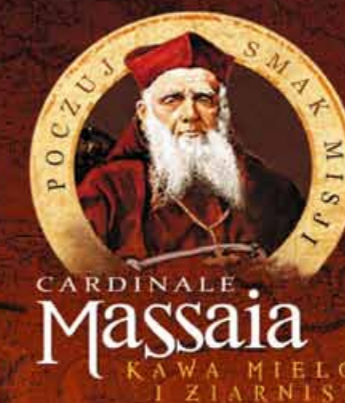
A więc za Apokalipsą (22,11-12):  
„Kto krzywdzi, niech jeszcze krzywdę wyrządzi,  
i plugawy niech się jeszcze splugawi,  
a sprawiedliwy niech jeszcze wypełni sprawiedliwość,  
a święty niechaj się jeszcze uświęci!  
Oto przyjdę niebawem,  
a moja zapłata jest ze mną.”

Wielkie dzięki za modlitwę!  
Bóg nad tym całym zakręconym światem –  
On potrafi!

br. Robert Wieczorek OFMCap

Pijąc kawę  
**Massaia**  
pomagasz  
misjonarzom kapucynom  
w Afryce.

Dochód ze sprzedaży kawy jest  
w całości przekazywany na misje  
w Republice Środkowoafrykańskiej  
i Republice Czadu.



Każda filiżanka kawy  
to jeden ciepły posiłek  
dla afrykańskiego  
dziecka.



[www.sklep.kapucyni.pl](http://www.sklep.kapucyni.pl)  
tel.: 12 623 60 50, wew. 132

### Zdecyduj się i pomóż!

#### SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi  
na kontynencie afrykańskim  
w Republice Środkowoafrykańskiej  
i Republice Czadu.

#### Wspieraj misje swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów  
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków  
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371



KRS: 0000356850

**FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE**  
zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy  
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom  
potrzebującym w krajach afrykańskich,  
w których pracują misjonarze z Zakonu  
Braci Mniejszych Kapucynów.

#### Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje  
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków  
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934

#### Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.  
Do użytku wewnętrznego Kościoła.  
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara  
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

#### Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16  
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132  
e-mail: [misje@kapucyni.pl](mailto:misje@kapucyni.pl)  
[www.misje.kapucyni.pl](http://www.misje.kapucyni.pl)

#### Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFMCap (red. naczelny)  
Diana Bonowicz,  
Nakład: 5 000 egz.

#### Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 3102165



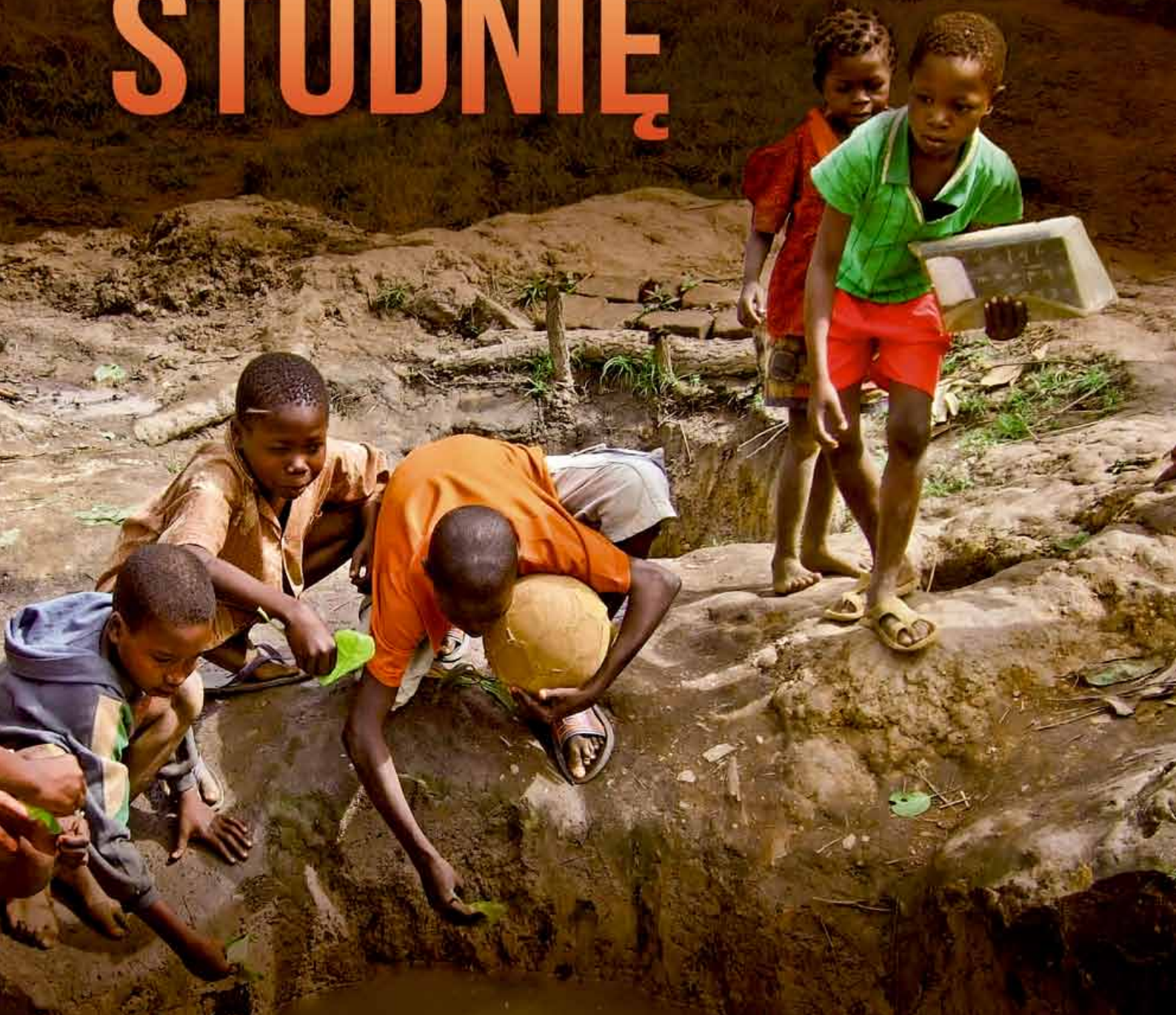
FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE  
ul. Korzeniaka 16, Kraków 30-298  
tel. (+4812) 623-60-50 wew.132  
tel. kom. (+48) 795 415 784  
e-mail: [fundacja@misje.kapucyni.pl](mailto:fundacja@misje.kapucyni.pl)  
[www.fundacja.kapucyni.pl](http://www.fundacja.kapucyni.pl)  
[www.czadowapara.pl](http://www.czadowapara.pl)  
[www.paczek.kapucyni.pl](http://www.paczek.kapucyni.pl)

**kapucyni.pl**

portal o smaku cappuccino



# BUDUJEMY STUDNIĘ



LUDZIE CIERPIĄ Z POWODU BRAKU WODY ZDATNEJ DO PICIA.  
WYBUDUJMY RAZEM STUDNIĘ W AFRYCE.  
**PRZYŁĄCZ SIĘ!**

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE  
KRAKÓW 30-298, UL. KORZENIAKA 16  
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934  
tel: + 48 504 225 267

[www.fundacja.kapucyni.pl](http://www.fundacja.kapucyni.pl)